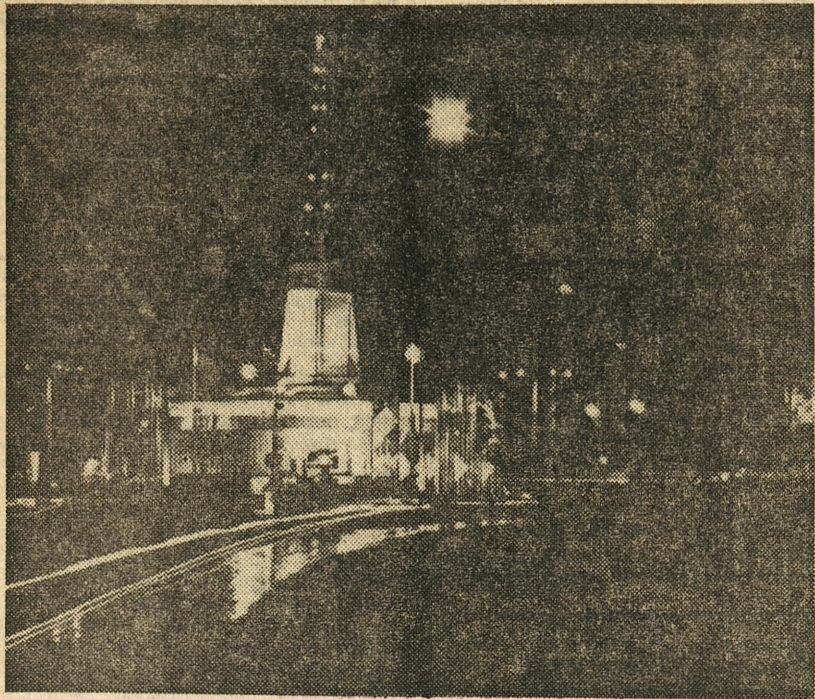




Zbiłut Sęk

TARGI W NOWEJ ROLI

A więc mamy już kolejne XXIII Targi Krajowe. W zgodzie z kalendarzem i tendencją do naturalnych uproszczeń zwą się one „Wiosna 69”. Czy jednak rzeczywiście nastanie wiosna w dotychczasowym trybie i formie tej imprezy? Inaczej mówiąc czy odpowiadać one będą nowej regule rynku, jaką zapowiedziała uchwała V Zjazdu partii?

Przypomnijmy, że rozróżnia ona jakby dwa etapy działania: do roku 1970 i później, w następnej pięcioletce. W interesującej nas części, dotyczącej zaopatrzenia i konsumpcji, mówi się tam, że w najbliższych dwóch latach tempo dostaw wyrobów przemysłu lekkiego, a więc tego głównego dostawcy artykułów spożycia, powinno wzrosnąć o 16 proc. W jeszcze większym stopniu, o około 23 proc, ma zwiększyć się podaż artykułów rynkowych produkowanych przez przemysł metalowy i maszynowy, o 21 procent — przez przemysł meblarski i aż o 25 procent — przez chemiczny.

W następnych pięciu latach, z uwagi na zakładany wzrost dochodów pieniężnych ludności, nastąpi dalsze zwiększenie popytu na te artykuły oraz zmiana w strukturze zapotrzebowania ludności na wyroby przemysłowe. Uchwała V Zjazdu podkreśla bowiem, że w nowej pięcioletce dojdą na rynek do głosu ludzie w znacznej mierze młodzi, wchodzący w życie produkcyjne, społeczne i rodzinne. W samej tylko gospodarce uspołecznionej przewiduje się przyrost zatrudnienia w wysokości 1,6 mln. osób, które zapewne mieć będą inne nieco niż my potrzeby, wymagania, ba — kaprysy, czy skłonność do luksusu. Z tej racji Zjazd partii obok zadania poprawy jakości wyrobów stawia przed wytwórcą obowiązek wprowadzenia nowych towarów, zwiększenia dostaw artykułów z przemysłu lekkiego (jak dziewiarsko-pończosnicze, odzież, obuwie, galanteria), najwięcej jednak produktów rynkowych pochodzących z przemysłu maszynowego i metalowego, chemicznego i elektrotechnicznego. To jest oczywiste: młodzi ludzie, więc nowe rodziny i gospodarstwa domowe — organizowane intensywnie na nowoczesny sposób. A zatem jeszcze pilniejsza potrzeba nowoczesnych mebli, sprzętu elektrotechnicznego i drobiazgów dla domu, potrzeba chemii na codzienny użytek, pomocnej w krzątaniu gospodni, sprzętu turystycznego w dobie coraz popularniejszych wczasów świątecznych, a także — motoryzacyjnego.

Wszystkie te tendencje spożycia, podkreślone w uchwale V Zjazdu, muszą być przez przemysł dostrzegane i w miarę rosnących możliwości produkcyjnych — zaspokajane. Tu zatem dochodzimy do meritum: skoro taką właśnie wytyczoną perspektywę dla rynku, musi ona być już teraz wzięta serio pod uwagę, musi być odpowiednio poprzedzona konkretnymi przedsięwzięciami.

Najłatwiej będzie inspirować w organizatorskiej sprawie kolejnych Targów Krajowych. Dlatego trzeba nam będzie baczenie obserwować te i następne „Wiosny” i „Jesienie”, aby doszukiwać się „wiosennej” odnowy Targów. Ponieważ mamy coraz lepsze wzornictwo — śledźmy uważnie

czy nie pozostanie tu ono swoistą sztuką dla sztuki, dla wykazania modernistycznych ambicji, wszakże bez ilościowego pokrycia w masie towarowej. Ponieważ mówi się i dąży nieustannie do wzrastającej realności umów handlowych — kontrolujemy skrupulatnie, czy w nowych kontraktach nie ma budy i braku odpowiedzialności ze strony przemysłu i handlu. Domagamy się od naszego pełnomocnika — handlu, odpowiednio wcześniejszego kształtowania przyszłej produkcji swymi organizatorskimi koncepcjami na Targach Krajowych. Spodziewamy się po nich spełnienia tych właśnie postulatów.

Bądźmy realistami — nie można oczekiwać tych wszystkich „wiosennych zwiastunów” w cztery miesiące po uchwale. Muszą to być przecież przedsięwzięcia wieloletnie, tym bardziej, że u nas ciągle jeszcze daleka droga „od pomysłu do przemysłu”. Chodzi wszakże o to, by już obecna „Wiosna 69” obrodziła w pomysły, nierzadko przyszłe koncepcje wytwórcze i organizatorskie. Z tego co wiemy o obecnych Targach wynika, że panuje jeszcze... nieurodzaj.

Jednym z głównych haseł „Wiosny 69” jest zwrot w stronę młodzieży. Z inicjatywy Zarządu Głównego ZMS i resortu przemysłu lekkiego zorganizowana została wystawa problemów poświęcona młodziemstwu. Jak powiadają działacze ZMS, chcą oni w oparciu o możliwości naszego przemysłu i pomysły wyłansować modę rodzimą, dla wszystkich warstw społeczeństwa, aby zarazem przeciwdziałać bezkrytycznemu kopiowaniu wzorów zachodnich. Inicjatywa dobra w czasie i zamysły, ale — jak dotąd — jedyna w świetle nowych perspektyw i zadań.

Nie negując obecnych konfekcyjnych potrzeb młodzieży, pragnącej się ubrać modnie i wytwornie, podkreślić wypada, że wkrótce przyjdzie kolej na meble, garnki, odkurzacze i... wózki dziecięce. O tym także już obecnie musi myśleć planista i projektant, handel i organizacja młodzieżowa. Dlatego powitamy z zadowoleniem każdą inicjatywę wystawczą, który na dzisiejszych Targach wykaże się zdolnością takiego przedstawiania, choćby nawet swój eksponat opatrzył nie lubianą przez handel wywieszka „prototyp”, czyli obietnicą produkcyjną.

Jak nas uprzedzają organizatorzy „Wiosny 69” — sporo nowości, i to tych oferowanych już do sprzedaży, ma przedstawić drobna wytwórczość. A więc i ten drugi partner handlowy, dostawca bardziej rzutki, bo krótkoterminowy i nastawiony na uzupełnienie potrzeb rynkowych — bierze się do roboty. Według innych informacji ekspozycja drobnej wytwórczości zajmie ponad połowę powierzchni wystawowej, co obiecuje znaczne wzbogacenie wzornictwa i asortymentu towarów.

Jak to jednak będzie w praktyce, przekonamy się i podczas zwiedzania Targów i później, w trakcie wędrówek po sklepach. To też można zrozuwać, wybaczyć, bo nie od razu Kraków zbudowano. Nie wybaczymy jedynie krótkowzroczności targowych partnerów i pocieszenia się, że jakoś to będzie z tym zaopatrzeniem. Właśnie — jak? Odpowiedzi spodziewamy się po kolejnych Targach Krajowych.

tygodnia

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 385 16 III 1969 Rok IX

Nierzadko, szczególnie od marca ubiegłego roku, sły się wymianę zdań, w której pada określenie „technokracja”. Jeśli mamy przy tym do czynienia z środowiskiem ludzi techniki, można się spotkać z objawami niechęci wobec wszczynania dyskusji na ten temat. Reprezentanci dyscyplin technicznych nierzadko skłonni są bowiem uważać, że „gadanie o technokracji to nic innego jak próba wbijania klina pomiędzy inżynierów i techników a robotników”.

Wokół pojęcia: technokracja — na rosło sporo niejasności. Główny nurt krytyki, skierowany w okresie ostatnich dwunastu miesięcy przeciwko rewizjonizmowi, pozostawił te sprawy jakoś na uboczu. Co więcej, poruszona w okresie V Zjazdu partii przez Władysława Gomułę sprawa konieczności zespolenia rewolucji społecznej z rewolucją techniczną — nie stała się przedmiotem szerszych rozważań.

A szkoda. Pytanie: czy można połączyć postęp techniczny z harmonijnym rozwojem ludowładztwa, z rozwojem demokracji socjalistycznej — nie od dzisiaj zaprzata uwagę polityków i uczonych.

Nasza odpowiedź na to pytanie jest zdecydowanie pozytywna. Stoiśmy na stanowisku, że rozwój techniczny wpływa dodatnio na kształtowanie postępu społecznego, na rozwój demokracji socjalistycznej. Innej zresztą odpowiedzi nie sposób udzielić, w przeciwnym bowiem razie zmuszeni byłibyśmy przystąpić do hamowania postępu technicznego. Z naszego stanowiska rzecz biorąc, jest w pełni możliwe i niezbędne równocześnie rozwijanie demokracji socjalistycznej, wraz z dokonującym się postępem technicznym.

Koncepcja technokratyczno-elitarna opowieszchniła się szeroko w państwach kapitalistycznych w związku z dyskusjami na temat pogłębiającego się podziału pracy, postępującej specjalizacji, kryzysu demokracji burżuazyjnej, ograniczonej roli parlamentu oraz samorządu terytorialnego. Jest to wizja stopniowego przechodzenia władzy w ręce elity, podczas gdy nasza, marksistowska wizja stanowi podporządkowywanie państwa społeczeństwu.

Pośród koncepcji technokratyczno-elitarnych, profesor Sylwester Zawadzki rozróżnia warianty, charakteryzujące się pewnymi odręb-

Wiesław Porzycki

Co z tą technokracją?

nościami. Jeden z nurtów myślowych głosi nieuchronność rządów biurokratycznych, przeobrażając coś w rodzaju rewolucji menadżerów, co kojarzy się w pewnej mierze z satyrycznymi publikacjami Parkinsona. Przypomnijmy, iż zgodnie z jego sugestiami, instytucja, licząca 1000 urzędników, nie ma potrzeby utrzymywania kontaktów ze światem; ma ona dostatecznie dużo zajęć, związanych z nadaniem biegu własnym, wewnętrznym sprawom.

Inną z odmian omawianej koncepcji jest wizja rządów technokratycznych. Reprezentatywną dla tych poglądów jest praca „Nowe państwo przemysłowe”, znanego ekonomisty, profesora Galbraitha. W książce tej amerykański uczonego stwierdza, iż z biegiem czasu władza kapitału przejdzie w ręce „technostrukury”, przez co rozumie

dzie do ostatecznego przejścia przez nich bezpośredniej władzy.

Nie brak w obrębie koncepcji technokratyczno-elitarnych innych wizji przyszłości. Niektórzy naukowcy zachodni zapowiadają „rządy uczonych”, „rządy matematyków” itp. Wspólna jednakże dla tej grupy poglądów jest myśl, iż postępuje proces koncentrowania władzy w rękach nielicznych osób, w rękach elity, złożonej z wybitnych indywidualności.

Nasza krytyka burżuazyjnych poglądów nie pomija pewnych obiektywnych przesłanek, na których bazuje koncepcja technokratyczna. Tak więc nie ulega wątpliwości, że rola aparatu państwowego wzrasta, dotyczy to i ustroju kapitalistycznego, i socjalistycznego. Profesor Sylwester Zawadzki, mówiąc o tych sprawach, przytacza wymowny przykład: liczba urzędników państwowych w USA wyniosła w roku 1900 około sto tysięcy; analogiczne dane za rok 1968 mówią o dwu milionach czterystu tysiącach(!).

Bezsporne jest i to, że i na Zachodzie i na Wschodzie rosną rola i znaczenie wysoko wykwalifikowanych specjalistów. Warto przy tym dodać, że właśnie ustrój socjalistyczny jest tym, który kładzie wielki nacisk na upowszechnianie wiedzy i wszelkich form kształcenia.

Zdaje się wreszcie nie podlegać dyskusji, i to, że bez względu na warunki ustrojowe, rola ekspertów oraz ustaleń nauki, jest obecnie — przy podejmowaniu decyzji rangi państwowej — większa niż kiedykolwiek.

Ale przecież sedno sprawy w tym, czy — przytoczone zmiany — równo znaczące są z ograniczaniem znaczenia czynnika społecznego? Inaczej mówiąc: czy eksplozywny charakter postępu technicznego, obserwowany w naszych czasach, determinuje zredukowanie udziału społeczeństwa w charakterze czynnika kontrolnego, współdecydującego m. in. o kierunkach i rozmiarach tego postępu?

Byłoby to nader jednostronne przedstawianie złożonego problemu, jakim jest harmonijny współzawodowywanie techniczny i społeczny. „Bowiemy — jak to ktoś stwierdził podczas dawnej dyskusji w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich, na omawianym temat — rzecz w celach, a nie w komputerach”. Ale o tym — odrębnie.

Sprawy dnia

zespół „aktywnych pracowników przedsiębiorstw”. Galbraith nie precyzuje wszakże dokładnie, ani go przez to ma na myśli, ani jak, praktycznie, wyobraża sobie dokonanie tej swoistej rewolucji.

Znamienne, iż Dżilas, po swoim niedawnym przybyciu do Stanów Zjednoczonych, w artykule, opublikowanym na łamach „New York Herald Tribune”, odchodząc od poglądów przedstawionych w oświadczeniu w swoim czasie pracy „Nowa klasa” — opowiedział się także za wizją rządów technokratycznych. Wyrzucił on mianowicie pogląd, że władza przejdzie w ręce technokratów, bez względu na to, czy w grę wchodzi ustrój kapitalistyczny, czy socjalistyczny.

Wymieńmy wreszcie trzecią z grup poglądów, mieszczących się w ogólnej formule technokratyczno-elitarnych: chodzi tu o ekspertokrację. Zgodnie z tą wizją, rosnący wpływ ekspertów na losy poszczególnych państw i narodów, ekspertów, którzy stoją niejako poza rządem, musi rzekomo doprowa-

W konkursie Prezydium Rady Narodowej Poznania i redakcji „Głosu Wielkopolskiego” pod ogólnym

hasłem: „Poznań — 1985” publikowaliśmy przez szereg tygodni artykuły redakcyjne lub wypowiedzi czytelników nie nadesłane jako prace konkursowe. Obecnie, po upływie terminu składania opracowań drukujemy cenniejsze fragmenty niektórych prac przesłanych na konkurs. Przystępując do kolejnego cyklu publikacji, stanowiących już plan naszej akcji, przekazujemy autorów za skróty. Z niektórych prac wybraliśmy fragmenty, które naszym zdaniem zasługują na szerszą popularyzację.

Poniżej — fragment jednej z prac dotyczący bazy kulturalnej

Zbyt skromny i dziwnie ogólnikowy w zestawieniu z szumną deklaracją o konieczności utrzymania przez Poznań a nawet podniesienia jego rangi jako ośrodka kulturalnego ziem zachodnich Polski, jest program rozwoju życia kulturalnego Poznania. Zaznaczam, że nie chodzi mi tu jedynie o same inwestycje, które przy bliższym poznaniu szczegółów mogą wydawać się nawet wyścigające. Chodzi o coś więcej — o program działania środowisk twórczych Poznania, o stałą ekspansję tego go środowiska zarówno na pozostałe warstwy poznańskiego społeczeństwa jak i dalekie oddziaływanie na inne regiony kraju, o inicjatywy, ale jeszcze bardziej o wytrwałość w realizacji tych inicjatyw.

Plan perspektywiczny przewiduje wybudowanie w Poznaniu do roku 1985 dwóch budynków dla teatrów dramatycznych i jednego dla Operetki. Niewątpliwie dla ożywienia życia teatralnego naszego miasta charakterystycznym się nierytmicznym tępem, byłoby właściwe etapowanie tych inwestycji tak, aby możliwie przybliżyć budowę choć jednego

Baza też wyznacza range kulturalną

teatru dramatycznego do jubileuszu 50-lecia powstania polskiego teatru w Poznaniu (rok 1975—100-lecie). A może by tak dla uczczenia rocznicy powstania polskiego teatru społecznego czynu „Naród-sobie”? Czy tylko poznańskie ZOO ma być dla potomnych świadectwem inicjatywy społecznej współczesnych poznaniaków w dziedzinie kultury? Warto również pomyśleć, jaki to profil powinien wypracować tak szacowny, ale nie odpowiadający już współczesnym wymogom, Teatr Polski. Można

nych (wykorzystanie panoramicznego ekranu itp.).

Poznań zasłużył również w najmniejszym stopniu niż stolica na najnowocześniejszy budynek teatru muzycznego. Już obecnie w tak skromnych warunkach technicznych poznańska Opera utrzymuje czołową pozycję wśród scen operowych Polski. Potrzebna jest więc tu poważna inwestycja, której nie mogą zastąpić żadne próby doraźnego rozbudowywania zaplecza. Dotychczasowy budynek operowy mógłby za to z powodzeniem spełniać rolę drugiego teatru dramatycznego w Poznaniu nastawionego np. na repertuar klasyczny.

Teatralnemu Poznaniowi potrzebna jest również Wyższa Szkoła Teatralna, która mogłaby zasilić nasze teatry, cierpiące nieustannie na ciągły odpływ sił reżyserskich i aktorskich. Nie można przecież zaprzeczyć, że tak dobrą renomą cieszące się sceny stołeczne zawdzięczają ją głównie znakomitemu aktorstwu.

Ze spraw drobniejszych mam nadzieję, że w niedługim czasie zakończy remonta i właściwszej adaptacji doczeka się Muzeum Sztuki Ludowej, a przy okazji ogród na tyłach budynku muzealnego zamieni się wreszcie w prawdziwy kwietny ogród.

Sprawy kulturalne Poznania stanowią tak bogaty zespół zagadnień, że stanowią one oddzielny temat podobnej publicznej dyskusji.

W. S.-M.
biolog
(Nazwisko i adres
znane redakcji)

Poznań
1985

by go doskonale wykorzystać na Ogólnopolskie Festiwale Poezji (które powinny być w Poznaniu na nowo!), na ogólnopolskie konkursy recytatorskie. Budynek teatru mógłby zresztą być siedzibą stałego Teatru Poezji (którego potrzebę się w Poznaniu odczuwa), mógłby równocześnie udzielać gościnny różnym innym kameralnym zespołom jak np. niedawno reaktywowanemu Zespołowi Dawnej Pieśni, Muzyki i Tańca, które powinny odpowiadać ramy stylowego, secesyjnego wnętrza.

Nie budzi wątpliwości fakt, że Poznaniowi potrzebny jest duży (ok. 2000 miejsc liczący) nowoczesny budynek teatru dramatycznego, w którym repertuar wystawianych sztuk wymaga najbardziej współczesnych technicznych środków inscenizacyj-

Cień Hitlera — cienie generałów

Literatura poświęcona drugiej wojnie światowej stanowi już dzisiaj ogromny i stale rosnący dział piśmiennictwa, a bibliofile gromadzący pamiętniki i opracowania dotyczące tamtego okresu znajdują się w coraz bardziej kłopotliwej sytuacji, skupiając się już tylko na niektórych aspektach, frontach, rodzajach broni. Sama tylko bitwa stalingradzka dała okazję do opublikowania setek tomów i rozdziałów w opracowaniach zbiorowych — we wszystkich niemal językach świata. Najwięcej do powiedzenia mają oczywiście bohaterowie i „bohaterowie” dramatu — wojskowi, dowódcy, historycy i uczestnicy tej gigantycznej operacji — Rosjanie oraz Niemcy.

Historiografia zachodnioniemiecka, zarówno ta poświęcona Stalingradowi, jak i w ogóle zajmująca się drugą wojną światową — zbyt jest znana ze swej służebnej funkcji wobec całej „rehabilitacji”, „żołnierskiego czynu” i „bohaterstwa niemieckiego żołnierza”, wobec krzewienia ducha odwetu i remilitaryzacji bońskiej republiki, aby raz jeszcze omawiać te właśnie jej aspekty. Uwadze czytelnika pragniemy polecić książkę odmienną w swym założeniu i charakterze. Książkę powiedzmy to od razu — będącą świadectwem klęski autora, poniesionej nie tylko na zasłużonym przedpolu Stalingradu w 1942/1943 roku, ale i na tej właśnie książce kartach. Klęski pewnej filozofii, będącej próbą zachowania wierności własnemu sumieniu i sumieniu swego narodu. Poczucia współodpowiedzialności za bezmiar niebezpieczeństwa, jakie przyniosła światu III Rzesza, beznadziejnie splecionego z obroną „niemieckich cnót żołnierskich”. Książkę przy tym pasjonującą.

Joachima Wiedera „Krach nad Wolgą” jest książką niezwykle już choćby z racji trybu, w jakim powstała. Sztabowy oficer Wehrmachtu, uczestnik kampanii francuskiej i rosyjskiej, świadek zagłady VI Armii pod Stalingradem, opisał historię okresu walk w okrażeńiu i wydał ją po raz pierwszy przed kilkunastu laty pod tytułem „Wspomnienia człowieka, który ocalał”. Już w tych wspomnieniach zarysowana jest filozofia autora. W kilka lat później doszedł do wniosku, że osobisty, kronikarski zapis tragicznych wydarzeń nie wystarczy. Napisał więc drugą część książki — „Rozważania po dwu dziesięciu latach”. Podjął w niej próbę polemiki z całą właściwie zachodnioniemiecką historiografią w zakresie bitwy Stalingradzkiej, próbę przeciwstawienia się tworzeniu mitu bohaterstwa, celowości, misji dziejowej, tego, co nazywa się bluźnierczym porównywaniem niemieckiej obrony po zwycięgu pod Stalingradem z Termopilami.

Joachim Wiedera, człowiek wierzący, syn pastora, o gruntownym, głębokim wykształceniu humanistycznym, nacechowany miłością do antyku i jego kultury, należy do tych, których zwykliśmy zaliczać do uczciwych, zdrowych sił w NRF. Na rozpętaną przez Niemcy wojnę patrzy oczyma człowieka uczciwego, potępia jej nieludzkie, zbrodnicze cele i czyni współrodaków, nie uchyla się od współodpowiedzialności, widzi całe niebezpieczeństwo odradzania się ducha odwetu i służące temu odradzaniu fałszowanie historii. A jednak...

Książka Wiedera jest świadectwem jego samotności i — jak wspominał — jego klęski. Jest ona uderzającym dowodem na to, że z pozycji liberalno-burżuazyjnych nawet tzw. „uczciwy Niemiec” nie jest w stanie zdobyć się na wyciągnięcie do końca wniosków z historii klęski i upadku swego narodu. Czytelnika polskiego (i chyba nie tylko polskiego) uderza na kartach jego książki ograniczoność myślenia, niewola schematów, w których tkwi mimo prób ich przezwyciężenia. Autor, w którego ustach słowa: „stare prusko-niemieckie wzorce żołnierskie” brzmią pozytywnie, który z czcią wyraża się o „pięknych tradycjach niemieckiego sztabu generalnego”, który jedną z przyczyn zła widzi w fakcie, że zapomniano o mądrych naukach starego Clausevita — taki autor nie wydaje się być zdolny do walki z „nieprzewidywalną przyszłością”. Nawet kiedy pisze: „Musimy wykryć, jak narodo-

Idea przewodnią książki Joachima Wiedera jest przeprowadzenie tezy, że skazanie około ćwierć miliona żołnierzy niemieckich na śmierć z zimna, głodu, chorób i walki z przeważającym przeciwnikiem w kotłach stalingradzkim, było bezcelowym, pozabawionym sensu, maniackim wprost czynem Naczelnego Wodza — Adolfa Hitlera, podyktowanym wyłącznie względami prestiżowymi. To założenie prowadzi go do dwóch konsekwencji.

Pierwsza — to popadnięcie, niemal wbrew intencjom, w klasyczny schemat zachodnioniemieckiej historiografii — zły był Hitler, on odpowiada za wszystko. Generałowie, oficerowie, sztab, Wehrmacht — to ofiary wszechwładnego dyktatora. Wiedera tym różni się od zwyczajnych fałszerzy historii, że stopniuje odpowiedzialność (oczywiście za klęskę, nie za fakt prowadzenia napastniczej wojny!) i że piętnuje uległość wyższych dowódców wobec Hitlera. Kolejnym po Hitlerze „winnym” na jego liście jest feldmarszałek Mannstein — dowódca Grupy Armii „Don”, następnie dowódca VI Armii von Paulus, a może jeszcze bardziej szef jego sztabu — generał Schmidt. Winni są tego, że słuchali Hitlera, że nie podjęli na własną rękę (możliwej w początkowej fazie okrażeńia) próby przebiecia się z kotła, że wykonali nie ludzki rozkaz zagłady własnej armii. Dowódcy korpusów, dywizji, brygad — to są już tylko żołnierze, dobrzy, wysoko kwalifikowani, świetni zawodowcy. Sympatie autora skupiają się szczególnie na generale Seydlitzu, który parł do wyrwania się z kotła, lub do wcześniejszej kapitulacji. Sympatie też towarzyszą również generałom, którzy usiłowali 20 lipca 1943 roku zgładzić Hitlera. Lewicowy ruch oporu w ogóle dla niego nie istnieje. Komitet Wolne Niemcy traktuje z dezaprobatą. A więc „obiektywny”, „krytyczny” historyk Wiedera przyznaje się obiektywnie swojej argumentacji do umocnienia tezy o złym Hitlerze i dobrych generałach.

Konsekwencja druga — to fakt, że autor, przytłoczony klęską stalingradzką, nie ma dość siły, nie znajduje miejsca, aby potępić nie tylko werbalnie, ale ze wskazaniem faktów — całą hitlerowską maszynę wojenną łącznie z Wehrmachtem za nie zliczone zbrodnie wojenne. Boleje nad męczeńską śmiercią dwustu — czy może trzystu tysięcy żołnierzy niemieckich pod Stalingradem. Milczy o milionach ofiar obozów, pacyfikacji, nieludzkich metod „wojny totalnej”.

* Joachim Wiedera — „Krach nad Wolgą”, str. 388, cena zł 24, Wydawnictwo MON — 1968.

Przeglądamy Prasę

PRZEC NARODOWA NIEPOWTARZALNOŚĆ

Ważki temat, związany z dyskusją o twórczości literackiej podejmuje Wiesław Adamski na łamach „Współczesności”. W artykule pt. „Literatura i klasa robotnicza” w przekonująco polemicie ustosunkowuje się m. in. do poglądów niektórych twórców.

„Związki literatury z klasą robotniczą — pisze — oznaczają w naszych warunkach związki z narodem. Tylko ludzie dotknięci polityczną katarakcją tego nie widzą. Pisać o klasie robotniczej i dla klasy robotniczej — to znaczy pisać o Polakach i dla Polaków, którzy dla innych narodów i społeczeństw będą tym bardziej atrakcyjni, im bardziej będą sobą. Nasza literatura może wejść na arenę światową i uzyskać rangę ogólnoludzką tylko poprzez nasze własne sprawy, poprzez narodową niepowtarzalność tego, co się u nas dzieje. Tyczy to zresztą nie tylko naszej literatury, w jednakowej mierze tyczy to wszystkich innych literatur świata i myślę, że twierdzenie to może bez zbytnich trudności udowodnić nie tylko historyk czy teoretyk literatury.

Niektórzy twórcy twierdzą, że takie postawienie problemu grozi zepchnięciem naszego piśmiennictwa do zaścianka. Waga intelektualna takiego argumentu nie jest w moim przekonaniu, wysoka. Cóż to bowiem za zaścianek, o trzyczęstości milionowej ludności, której wykształcenie i wymagania kulturalne

„Głosie” (nr 304) z grudnia ubr. przeczytałem bardzo interesujące rozważania Olgierda Błażewicza pt. „Widz zwykły czy organizowany”. Autor nie postawił przysłówowej kropki nad „i”, myślę więc, że artykuł jest zaproszeniem do dyskusji. Fakt ten cieszy tym bardziej, że osiągnęliśmy półmetek wielkiej imprezy kulturalnej pn. „Rok Teatru w Wielkopolsce”. Celem imprezy jest, jak wiadomo, zbliżenie teatru do widza, szczególnie w odniesieniu do zagadnień repertuarowych oraz wytworzenie wokół teatru atmosfery serdecznego zainteresowania. Można więc powiedzieć, że dyskusja dotycząca widza teatralnego wiąże się ściśle z charakterem imprezy.

Za punkt wyjścia swoich rozważań przyjmuję kilka liczb, które orientują w meritum zagadnienia.

Przedstawienia w poznańskich teatrach dramatycznych w 1968 r. obejrzało ogółem około 180 tys. widzów. Czy to jest dużo? To zależy jak na sprawę spojrzymy. Jeżeli mechanicznie dodamy miejsca na widowni Teatru Polskiego i Teatru Nowego, pomnożymy uzyskaną sumę przez spektakle, a wynik porównamy z liczbą obrazującą faktyczną liczbę widzów, to okaże się, że średnie zapleczenie (pojęcie statystyczne) widowni w r. 1968 wyniosło — 72 proc. ogółu miejsc na obu widowniach, a przecież część miejsc z różnych względów nie jest wykorzystywana — np. z powodu złej widoczności).

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że od szeregu lat liczba widzów odwiedzających teatry dramatyczne Poznania utrzymuje się mniej więcej na tym samym poziomie, z pewnym odchyleniem w dół w 1967 r., kiedy odnotowano w teatrach tylko 163 tys. widzów.

Kto kryje się pod liczbą 180 tys. widzów?

Na pytanie to można odpowiedzieć tylko ogólnie. Teatr nie prowadzi bieżącej, szczegółowej analizy składu widowni, bo to nikomu nie jest potrzebne. W marcu br. próbne badanie w tym zakresie przeprowadzi w poznańskich teatrach dramatycznych Ministerstwo Kultury i Sztuki przy współudziale Katedry Socjologii UAM i Teatru. Nie czeka już dziś, w oparciu o materiały statystyczne znajdujące się w Teatrze, dokona analizy rozpoznawczej.

Na ogólną liczbę 180 tys. widzów w 1968 r. bilety normalne zakupiło bezpośrednio w kasie teatru około 80 tys. widzów, co stanowi 44 proc. ogółu sprzedanych biletów. Znacząco, że ta wcale nie mała grupa widzów przyszła do teatru dramatycznego z własnej woli, aby obejrzeć wybrane przez siebie przedstawienie, bo zainteresowali ich właśnie „ten” spektakl, może aktor albo wręczcie dlatego, bo słyszeli lub czytali, że właśnie „to” przedstawienie warto zobaczyć. Czy 44 proc. to dużo? Chyba tak. Wprawdzie w r. 1967 sprzedano aż 62 proc. biletów bezpośrednio w kasie teatralnej, jednak pamiętać trzeba, że w r. 1963 — zaledwie 25 proc., a w r. 1964 — tylko 21 proc.

W planowaniu przyjęto założenie, że stosunek sprzedanych biletów normalnych do biletów ulgowych powinien kształtować się w granicach 1:1, a więc w skali rocznej po 50 proc.

rosną i poszerzają się z każdym rokiem; która z każdym rokiem staje się bardziej chłonna dla wszelkiego rodzaju dzieł artystycznych. Poza wszystkim zresztą dobra książka nawet o zaścianku nigdy nie będzie zaściankową”.

Podobne sprawy, chociaż w innych nieco aspektach, porusza Stefan Melkowski na łamach „Kultury”, gdzie publikuje artykuł

ODTWARZAC CZY TWORZYĆ

W rozwoju naszej rodzimej literatury autor dostrzega dwa specyficzne polskie połączenia:

„Pierwsze: to, co polskie i co socjalistyczne, to przejawia się przede wszystkim w prozie, której głównym modelem jest odtwarzanie naszej rzeczywistości, a robić to może literatura — jak to się zwykło mówić — „dla ludzi”, tzn. posługującą się konwencją właściwą prozie mieszczańskiej XIX wieku i z niej się wywodząca (i oczywiście — odwrotnie!). I drugie stanowisko: to, co nowe awangardowe, to z natury rzeczy musi być przedstawione w sposób wzorowany na literaturze Zachodu, bo tylko ona reprezentuje „dwudziestowieczność” i tylko środki stanowiącą cerpanie, umożliwiają kreowanie, tworzenie spraw człowieka w literaturze. (I to zdanie też można odwrócić)”.

To przeciwstawienie autor uznaje za pozorne i zawierające niebezpieczne elementy. Rozdzielono bowiem w nim sprawy dydaktyczne z sobą powiązane: narodowość literatury i jej uniwersalny charakter. Wniosek w tej sytuacji może być jeden:

„Trzeba — pisze autor — dokładnie przebadać i przyswoić świadomości po-

Omówioną wyżej grupę widzów — tzn. tych, którzy kupowali bilety bez pośrednio w kasie teatralnej — spróbujmy nazwać w dalszym ciągu „widzami zwykłymi” w odróżnieniu od grupy tzw. „widzów organizowanych”. Posłużyłem się tutaj określeniami (za Olgierdem Błażewiczem), których nie lubię. Nazwy „widz zwykły” „widz organizowany” są nie ostre i tym samym wieloznaczne i jak to się w dalszej części okaże — nie ułatwiają analizy.

Jeżeli przyjmiemy, że widzom zwykłym jest każda osoba, która korzysta z niczym nie ograniczonego prawa pójścia do teatru w dowolnie wybranym terminie i na wybrane przez siebie przedstawienie teatralne, to „widzom zwykłym” będzie każdy kupujący bilet wstępu bezpośredniego w kasie teatru. Od razu jednak trzeba tutaj dodać, że w tym znaczeniu „widzom zwykłym” będzie również i ta osoba, która zakupi bilet do teatru w swoim zakładzie pracy

Wacław Wilanowski

Jak zbliżyć teatr do widza?

od kolportera teatralnego, bo korzysta z takich samych uprawnień jak ci, którzy przychodzą do kasy teatralnej (swobodny wybór terminu i tytułu przedstawienia). Aby nie było nieporozumień, wyjaśnię od razu, że kolporter biletów (nazwa nie bardzo udana) to nic innego jak ruchoma kasa biletowa teatru.

Dysponuje on zazwyczaj pewną liczbą biletów wstępu na kilka przedstawień bieżącego repertuaru teatrów. Decyzję w przedmiocie zakupu biletów trzeba w tym przypadku podjąć na kilka dni na przód, ale nie można tego nazwać ograniczeniem uprawnień nabywcy, bo — od kładając zakup biletów na ostatnią chwilę — można narazić się na niemożność nabycia ich w ogóle. Zjawisko to dość częste w naszych teatrach.

W tym stanie rzeczy do podanego wyżej wskaźnika widzów zwykłych (44 proc.) trzeba dodać 30 proc., bo kolporterzy teatralni sprzedali w r. 1968 około 60 tys. biletów.

Przypatrzmy się teraz drugiej grupie tzw. „widzów organizowanych”. Można wydzielić tutaj dwie podgrupy, które mieszczą się w zakresie tej nazwy. Będą to: młodzież szkolna na zamkniętych przedstawieniach szkolnych oraz pracownicy poznańskich zakładów pracy na zamkniętych przedstawieniach dla nich organizowanych.

Dla podgrupy pierwszej w r. 1968 odbyły się 64 zamknięte przedstawienia szkol-

ne tj. 11 proc. ogółu przedstawień. Wzięło w nich udział 32 tys. młodzieży tj. 18 proc. ogółu widzów.

Dla podgrupy drugiej — 17 zamkniętych przedstawień dla zakładów pracy tj. 3 proc. ogółu przedstawień przy udziale 8 tys. osób tj. 4 proc. ogółu widzów.

Naturalnie, młodzież szkolna uczestniczyła w jakimś stopniu także w wielu innych przedstawieniach, ale były to na ogół niewielkie grupy, liczące mniej więcej po 30-40 osób. To samo można powiedzieć o pracownikach poznańskich zakładów pracy. Poza uczestnictwem w zamkniętych przedstawieniach brali oni udział także w innych spektaklach, co w jakimś stopniu charakteryzuje liczbę biletów sprzedanych w tzw. kolportażu.

Przedstawiona analiza widowni teatrów dramatycznych w roku 1968, pomimo, że nie daje szczegółowej odpowiedzi na pytanie jaka była struktura widzów teatralnych, pozwala zorientować się w istniejących układach i tendencjach. Przytoczone liczby świadczą o tym, że młodzież wcale nie stanowi dominującego elementu widowni teatralnej. Jest to chyba zjawisko pozytywne, bo poznańskie teatry dramatyczne to nie młodzieżowe teatry, zaś ich oddziaływanie jest znacznie szersze. Do zjawisk pozytywnych zaliczyć należy również to, że w Poznaniu nie doszło nigdy do takiej anomalii jak to miało miejsce w przeszłości na Śląsku czy na Wybrzeżu, gdzie pewne zakłady pracy masowo, na cały rok, nabywały bilety na przedstawienia teatralne, przy czym nie zawsze troszczyły się o to, aby bilety te były w pełni wykorzystane. W rezultacie sukces był pozorny — do kasy teatrów wpływała gotówka, ale widownia świeciła pustkami.

Teatr szanuje każdego widza, zarówno tego, który sam przychodzi do kasy teatralnej jak i tego, który nabywa bilet za pośrednictwem kolportera bądź swego zakładu pracy czy szkoły. Dlatego nie dzielimy widzów na zwykłych i organizowanych tym bardziej, że jak to już wyżej powiedziano, granica pomiędzy obu grupami wcale nie jest wyraźnie zarysowana.

Nie będziemy również demonizować sprawy zachowania się pewnej, zresztą nieelicznej, grupy młodzieży w teatrze. Zjawisko to występuje nie tylko w Poznaniu. Podobne zmartwienie ma również Teatr Narodowy czy Powszechny w Warszawie, Teatr im. Słowackiego w Krakowie i inne. Pewne ekscesy, które miały miejsce na kilku przedstawieniach, zdarzyły się na tzw. zamkniętych przedstawieniach szkolnych, w których brała udział wyłącznie młodzież i to w dużych grupach z jednej albo najwyższych dwóch szkół, głównie zawodowych. Wychowawcy na ogół wyznaczają wówczas miejsca klasami i to chyba powoduje, że bardziej żywe jednostki, znajdując się w swych klasowych paczkach, usiłują zaizolować się od reszty widowni, co nie jest korzystne dla lekcji wychowawczych. Nie wolno natomiast potępiać całej młodzieży i zamykać jej drogi do teatru, bo w ten sposób wyrządzilibyśmy jej niepotrzebną krzywdę.

Chociaż zjawisko to nie jest nagminne, bo przecież w podstawowej swej masie młodzież szkolna zachowuje się teatralnie w teatrze, na pewno trzeba temu przeciwdziałać. Sposobów jest kilka — począwszy od rozsądnego rozdziału biletów wśród młodzieży, a skończywszy na omawianiu sprawy wspólnych wyjść do teatru na lekcjach wychowawczych. Nie wolno natomiast potępiać całej młodzieży i zamykać jej drogi do teatru, bo w ten sposób wyrządzilibyśmy jej niepotrzebną krzywdę.

bierców i testamentu — pieniadze które pozostawił Nikifor powinien przepisać Skarbowi Państwa. Medeyski swoją publikacją wnioskuję, by w tym przypadku uczynić wyjątek i przeznaczyć je wraz z całą spuścizną po Nikiforze na organizację Muzeum Sztuki Prymitywnej w Krynicy. Miejsceowe władze mają w tym zakresie konkretne projekty, teraz wszystko zależy od tego Temida przychylili się do tej zasługującej na pewno na poparcie propozycji.

„POBRZEŻE”

Na mapie czasopiśmiennictwa polskiego pojawił się nowy miesięcznik społeczno-kulturalny. Jest nim koszański „Pobrzeże”, stanowiące kontynuację „Zapisów koszańskich”, które przez 11 lat ukazywały się tam jako kwartalnik.

Nowy miesięcznik stawia sobie za cel wpływanie na postawy społeczne i ideowe ludzi, szczególnie młodzieży, zapowiadając podjęcie skomplikowanych problemów, przemian obyczajowych i integracyjnych, sięganie do tradycji i współczesności, by ukazywać postawy zaangażowane i patriotyczne. Do współpracy zaproszono wielu autorów spoza Koszańskiego, czego wyraz znajdujemy już w pierwszym numerze, w którym piszą m. in. Alojzy Sroga, Leszek Prok, Feliks Fornalczyk, Władysław Machek.

„Tygodnik Kulturalny” — w związku z kampanią wyborczą — rozpoczyna druk cyklu publikacji przewodniczących prezydium wojewódzkiej rady narodowej, którzy będą odpowiadać na pytania redakcji związane z obecną kadencją rad narodowych; jako pierwszy wypowiada się Jerzy Zietek na temat rozwoju Śląska i Zagłębia.

LEKTOR